

Czesław WALESA

MOJE DZIECIŃSTWO: SYBERIA, TADŻYKISTAN I POWRÓT DO POLSKI

W Wielkanoc dowiedzieliśmy się, że nigdzie nie pojedziemy, ponieważ wyjazd polskich rodzin został wstrzymany. [...] Ten upalny wielkanocny dzień pozostał mi w pamięci jako bardzo smutny. Zapamiętałem taką oto scenę: przodem szedł rosły mężczyzna, właściciel osiołka. [...] Za osiołkiem podążaliśmy my: moja mama, Marysia i ja. Z żalu i rozpaczki płakaliśmy. Łzy, żłobiąc bruzdy na pokrytej glinianym kurzem twarzy, spadały na polną drogę. Już nie pamiętaliśmy, że podążamy do domu w dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Urodziłem się 6 czerwca 1934 roku w osadzie Jarniewo (powiat Słonim, województwo Nowogródek) w diecezji wileńskiej jako najstarsze z trojga dzieci Emilii, córki miejscowego leśniczego, i Jana, syna żołnierza J. Piłsudskiego, osadnika na białoruskich kresach Rzeczypospolitej. Dzień 9 lutego 1940 roku był dla mnie niezwykły, ponieważ otrzymałem wtedy kółko od wózka, który miał być moją pierwszą zabawką. Wykonywał go dla mnie mój ojciec. Spałem z tym kółkiem. Nad ranem rozległo się łomotanie do drzwi. Weszło dwóch uzbrojonych żołnierzy. Krzyknęli po rosyjsku: „Pakujcie się! Wyjeżdżacie do ZSRR!”

Jeden z dwóch żołnierzy stanął z karabinem przy ojcu, zabraniając mu poruszać się. Drugi podążył za matką, która wybiegła z domu, aby wołać o pomoc. Żołnierz podbiegł do niej i podniesionym głosem powiedział: „Nie krzycz, to wtedy coś weźmiesz ze sobą. A jeżeli będziesz krzyczeć, to cię zwiążemy i tak zawieziemy”. Matka weszła do domu. Żołnierz przy ojcu powiedział stanowczym głosem: „Macie piętnaście minut na spakowanie!” Jego wzrok przypadkowo zatrzymał się na wiadrze pełnym mleka. Powiedział z troską: „Wiadro się wam przyda”. „A do czego przelać mleko?” – zapytała się jakby siebie matka. On zaś krzyknął: „Wylej na podłogę, bo to wszystko już nie twoje!”

Po pospiesznym spakowaniu rzeczy trzeba było odpowiednio ubrać trójkę dzieci w wieku dwa i pół roku, cztery lata oraz pięć i pół roku. A mróz tego dnia był czterdziestostopniowy.

W czasie podróży saniami do najbliższej stacji kolejowej (16 kilometrów do Słonima), a później w tak zwanym wagonie „bydlęcym”, co pewien czas upewniałem się, czy mam przy sobie drewniane kółko. Ukryłem je głęboko pod koszulą. Było ono łącznikiem pomiędzy tym, co się działo, a niespełnionym światem dziecięcych marzeń.

Po kilkumiesięcznym pobycie w obozie przejściowym na Syberii europejskiej w okolicy Wołogdy przewieziono nas do Miczińskiego Osiedla. Ojciec pracował tu w tajdze przy wyrębie drzew. Matka często mu pomagała. Na mnie spadał wówczas obowiązek opieki nad młodszą o półtora roku siostrą Marysią i młodszym o trzy lata bratem Antosiem.

W lecie wyruszałem z matką w głębsze rejony tajgi w poszukiwaniu jagód, malin i grzybów. Pewnego razu zabłądziliśmy i błąkaliśmy się bez nadziei odnalezienia drogi. Na szczęście po dłuższym czasie usłyszeliśmy warkot ciężkiego samochodu. Jechał daleko od nas po drewnianej drodze z grubych desek, ułożonych na podmokłym podłożu tajgi.

17 listopada 1941 roku wyruszyliśmy w południowo-wschodnim kierunku ZSRR. (Po pertraktacjach generała W. Sikorskiego ze Stalinem wolno nam było opuścić miejsce zesłania, ale nie w kierunku Polski). Przygotowywaliśmy się do tej podróży bardzo starannie, gromadząc żywność (głównie suchary) i inne rzeczy. Po trzech dniach, wraz z całym dobytkiem, który mieścił się w pięciu workach, dojechaliśmy pociągiem pasażerskim do Kirowa. Tu ukradziono nam dwa worki, czyli prawie połowę zapasów potrzebnych do przeżycia.

Z Kirowa czekała nas podróż transportem składającym się z „bydlęcych” wagonów w nieznanym dla nas kierunku i o nieznanym czasie trwania (później okazało się, że trwała sześć tygodni).

Transport nasz zatrzymywał się niespodziewanie na niektórych stacjach. Mężczyźni wyruszali wtedy na poszukiwanie wody i opału. Wielu z nich nigdy nie powróciło. Na jednym z dalszych postojów został mój ojciec z większą grupą mężczyzn. Ktoś z nich dowiedział się, że nasz transport odjechał w kierunku Taszkientu. Dzięki temu udało się im dogonić nas najbliższym pociągiem osobowym.

W czasie tej sześciotygodniowej podróży nękały nas różne troski. Do najbardziej dotkliwych należały wszy. Było ich tak wiele, że w czasie jazdy pociągu niektórzy strzepywali je z bielizny na rozgrzany piecyk, a na postojach wysypywali przez otwarte drzwi wagonu.

Zdarzały się też różne nieszczęścia. Na nogę Antosia wylał się wrzątek. Na kolanie powstała rana, która się nie goiła. Do tego dołączyła się dziecięca choroba – odra. Pod koniec podróży chłopiec gorączkował i coraz słabszym głosem wołał: „Mamo, mamo, czy jesteś przy mnie?”

Kresem naszej podróży okazało się miasto Czust w Tadżykistanie. 22 grudnia opuściliśmy nasz wagon, a kolejne dwa dni spędziliśmy na stacji kolejowej. Stąd przewieziono nas do kołchozu Kujbyszew. Zakwaterowano nas tymczasowo w lepiance, która okazała się świetlicą kołchozową. Była to wigilia Bożego Narodzenia, a my nie mieliśmy nic do jedzenia. Ułożyliśmy się do snu na glinianej podłodze przykrytej matą. W nocy poczułem drgania i jakby falowanie podłogi. Usłyszałem też brzęk pustych naczyń. Boże Narodzenie przywitano nas trzęsieniem ziemi, o czym byśmy nawet nie wiedzieli, gdyby nie tubylcy muzul-

manie. Ktoś z nich podbiegł do naszej lepianki i najpierw po tadżycku, później po rosyjsku, a w końcu na migi kazał nam z niej wyjść.

W dzień Bożego Narodzenia mama zaniósła mojego wycieńczonego chorobą i głodem brata do odległego o sześć kilometrów szpitala. Pozostała tam z nim. Na jej oczach umierał. Martwe ciało wrzucono do wspólnego dołu i zasypano wapnem.

A nas nękał głód. Snułem się po różnych miejscach, aby zdobyć coś do zjedzenia. Tu i ówdzie trafiałem na jakieś resztki, na przykład na ogryzek czy pestkę moreli, którą rozbijałem kamieniem, aby wydobyć z niej jadalne ziarno. Mama zdobyła „makuchę”, czyli wytłoki z ziaren bawełny, i ugotowała z tego coś w rodzaju kaszy. Dowiedział się o tym przewodniczący kolchozu. Przyszedł do naszej lepianki i zapytał mamę: „Co zrobiłaś z makuchą?” Mama odpowiedziała: „Ugotowałam”. „Pokaż!” – krzyknął, a po obejrzeniu ugotowanej makuchy polecił: „Wylej to natychmiast! Od tego jedzenia możecie umrzeć!” Mama powiedziała: „Wszyscy jedliśmy”. Przewodniczący przydzielił nam wówczas pewną ilość mąki, która przy głodowych racjach wystarczyła na kilkanaście dni.

Tę sytuację głodu i braku pracy najgorzej znosił mój ojciec. Mama radziła sobie lepiej. Kiedy znowu nadeszły dni głodu – znając najbliższą okolicę – wyruszyła, aby zdobyć jedzenie: pukała do drzwi domów, wyciągała rękę i płakała. Przyniosła wtedy pożywienie, które wystarczyło na kilka dni.

Kontakty mamy z miejscowymi ludźmi utrudniało to, że nie znała języka tadżyckiego. Wkrótce jednak nawiązała z niektórymi układy typu handlu wymiennego: w zamian za żywność świadczyła różne usługi, na przykład przędła metodą kądzieli, na wykonanym samodzielnie wrzecionie, wełnę z owiec lub z wielbłądów. Wydawało mi się, że mama w ogóle nie śpi. Gdy układałem się do snu, przędła, przyrządzała coś do jedzenia lub odmawiała różaniec. Gdy budziłem się rankiem, mama znowu przędła, przyrządzała coś do jedzenia lub odmawiała różaniec – jak gdyby kontynuowała czynność, którą wykonywała wieczorem. Sama mówiła, że noc jasna, księżycowa jest dobra do przędzenia, a noc ciemna – do odmawiania różańca.

W lutym 1942 roku ojciec odszedł do Armii Andersa. Wkrótce potem przeprowadziliśmy się do dawnego domu sekretarki kolchozu. Dom ten był dobrą lepianką, a mieszkała w nim z nami wdowa o nazwisku Rozwód z dorastającą córką Bronią. Sekretarka dostała dla siebie dom większy i lepszy.

Nasza sytuacja uległa poprawie. Mama wychodziła do całodziennej pracy w kolchozie – z reguły na bezkresnych polach bawełny lub pszenicy. Często, zwłaszcza latem, zabierała mnie ze sobą. Wykonywałem tam drobne przysługi dla pracujących, na przykład przynosiłem wodę, zbierałem uruk (morele) lub też przynosiłem paszę dla krowy. W niedziele po żniwach zazwyczaj chodziłem z mamą zbierać kłosa w palącym tadżyckim słońcu. Było to dla mnie zajęcie wyjątkowo wyczerpujące: wprost nie do wytrzymania.

Od września 1942 roku chodziliśmy z Marysią do tadżyckiej szkoły. Lubiłem tę szkołę. Było tam dużo swobody, a oprócz tego każdy uczeń otrzymywał po pięćdziesiąt gramów chleba dziennie. Miało to przyciągnąć dzieci do szkoły. Często (w dniach małej frekwencji uczniów) otrzymywałem podwójną porcję chleba, czyli sto gramów.

Bardzo szybko – nie wiadomo kiedy, gdzie i jak – nauczyłem się języka rosyjskiego i tadżyckiego. Równie szybko nauczyłem się odróżniać rośliny jadalne od niejadalnych. „Zielsko” jadalne można było zbierać w strumieniach niemal przez cały rok. Na przednówku przynosiłem mamie dwa naręcza „zielska”, mówiąc: „To będzie na zupę, a to na placki”.

Lubiłem się bawić z miejscowymi dziećmi tadżyckimi. Z chłopcami czasami walczyłem. Kiedyś w upalny dzień niosłem wodę dla mamy. Wyszedł mi naprzeciw chłopiec starszy i dużo wyższy. Chciał mi odebrać wodę. Rzuciłem się wówczas na niego i walczyłem tak, że porozrywałem mu koszulę, ale wodę ocaliłem dla mamy.

Wiele rodzin żołnierzy Armii Andersa wyjechało ze Związku Radzieckiego do Iranu, a nawet dalej. Moja rodzina także miała wyjechać na początku kwietnia 1943 roku. Nawet bardzo potrzebne rzeczy oddaliśmy wtedy sąsiadom. Zabraliśmy ze sobą tylko to, co wydawało się niezbędne podczas długiej podróży. W wyznaczonym dniu byliśmy na stacji kolejowej. Czekaliśmy tam przez cztery dni: spaliśmy na workach i zjadaliśmy zabrane na drogę zapasy. Po czterech dniach, w Wielkanoc, dowiedzieliśmy się, że nigdzie nie pojedziemy, ponieważ wyjazd polskich rodzin został wstrzymany. Musieliśmy wracać do kolchozu. Mama zostawiła mnie i moją siostrę z bagażami, a sama poszła szukać osiołka do przewiezienia rzeczy.

Ten upalny wielkanocny dzień pozostał mi w pamięci jako bardzo smutny. Zapamiętałem taką oto scenę: przodem szedł rosty mężczyzna, właściciel osiołka. Trzymał w ręku przywiązany do zwierzęcia sznurek. W ślad za mężczyzną dreptał miarowo osiołek, wzbijając kurz na polnej drodze. Za osiołkiem podążaliśmy my: moja mama, Marysia i ja. Z żalu i rozpaczki płakaliśmy. Łzy, żłobiąc bruzdy na pokrytej glinianym kurzem twarzy, spadały na polną drogę. Już nie pamiętaliśmy, że podążamy do domu w dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Wróciliśmy do tego samego miejsca i do tych samych co przedtem zajęć, ale pozbawieni wielu potrzebnych rzeczy, na przykład siekiery, garnka czy mojego zimowego płaszcza, który został skradziony na stacji kolejowej.

W związku z powstaniem Armii Andersa jesienią 1943 roku w Namanganie utworzono polski dom dziecka. Otrzymaliśmy tam zaproszenie. Po wielu naradach mama zdecydowała, że Marysia i ja spędzimy w domu dziecka przynajmniej sześć miesięcy, a jeżeli będzie nam tam dobrze, to dłuższy czas. Ponieważ Marysia jednak źle się czuła i często chorowała, mama zabrała ją do siebie. Ja natomiast czułem się tam dobrze, mimo że porcje żywnościowe były

raczej głodowe, a głód po posiłku czuło się niekiedy większy niż przed posiłkiem.

W domu dziecka wiele było chwil przygody i niezwykłych wydarzeń. Najstarsi chłopcy (w wieku 16-18 lat) wyruszali co pewien czas w głąb pustyni (około 20 kilometrów) w poszukiwaniu żółwi. Po udanym polowaniu przynosili je w workach na plecach, a następnie gotowali. Wszyscy, nawet najmłodszy mieszkańcy, otrzymywali wtedy porcje tego smacznego i pożywnego mięsa, później zaś rozchodziły się wieści o samej wyprawie.

Początkowo Marysię i mnie, a później tylko mnie, dość często odwiedzała mama (na ogół dwa razy w miesiącu). Odległość od naszego domu w kołchozie do domu dziecka wynosiła około sześćdziesięciu kilometrów. Mama szła pieszo. Wyruszała tuż po północy i przychodziła do mnie przed południem. Przynosiła jakieś pożywienie (najczęściej placki o nazwie lepioszki), spędzała w domu dziecka około dwóch godzin, rozmawiając ze mną, i wracała także pieszo, aby przed północą dojść do domu. Rano wyruszała do pracy na polu kołchozowym.

Po pierwszej wizycie mamy zjadłem kilka kęsów przyniesionych dla mnie placków. Pozostałą część chciałem zostawić na później. Gdy mama odeszła, skierowałem się do swojego pokoju. Zobaczyłem wtedy gromadę dzieci, z których każde prosiło: „Czesiek, daj ugryźć! Chociaż raz!” Do swojego pokoju niczego już nie zaniostałem. Ani okruszka!

Moje wiosny i lata w domu dziecka łączyły się z pełnym przygód zdobywaniem pożywienia. Pomidory na przykład „zdobywałem” na polu należącym do pobliskiego więzienia. Chociaż starsi chłopcy ostrzegali mnie: „Uważaj, bo strażnik strzela czymś takim, że nie chce się po tym goić”, wyruszałem po pomidory i przynosiłem ich tyle, ile tylko zmieściło się pod ściśniętą paskiem koszulą. Orzechy „zdobywałem” w dość oddalonym wielkim sadzie. Wybrałem się tam pewnej nocy księżycowej przed świtem. Cicho przeprawiłem się przez mur i wspiąłem się na wysokie drzewo. Ostrożnie zrywałem orzechy, gromadząc je w zanadrzu. Na nieszczęście jeden orzech wypadł mi z ręki i stoczył się na ziemię po liściach i gałęziach. Pies zaszczekał i za chwilę pod moim drzewem znalazło się dwóch mężczyzn. Przywarłem wtedy do konaru drzewa, a ręce ułożyłem wzdłuż grubych gałęzi. Mężczyźni po rosyjsku wymieniali swoje uwagi. Po chwili wraz z psem wrócili do szataś w środku sadu. A mnie czekało bardzo trudne zejście z drzewa i pokonanie wysokiego muru. Mając w zanadrzu orzechy, musiałem to wszystko wykonać bezszelestnie, aby nie ściągnąć na siebie uwagi czujnego psa i strażników sadu.

Pewnego razu po obiedzie zakradłem się do jakiegoś ogrodu na maliny. Nagle zjawił się obok mnie młody i dobrze zbudowany Rosjanin (prawdopodobnie funkcjonariusz NKWD). Znieruchomiałem ze strachu. On zaś lewą ręką chwycił mnie za szyję, a prawą bił mnie długo. Zniosłem to w milczeniu. Zmaltretowany wróciłem do domu dziecka. Gdy zadane mi rany, sińce i potłuczenia

wygoiły się, jeszcze raz wyprawilem się w to samo miejsce, jakby dla sprawdzenia siebie, aby dowieść sobie, że jest to możliwe. Chociaż tym razem zachowałem pełną ostrożność, ten sam Rosjanin dostrzegł mnie z daleka i zaczął biec w moim kierunku. Wtedy błyskawicznie przesadziłem ogrodzenie. Rosjanin szybko przywołał sąsiada i obydwaj zaczęli mnie gonić. Uciekałem wzdłuż strumienia. W miejscu, gdzie nad strumieniem rosły duże krzaki łączące się szczytami gałęzi, a drzewa zastoniły mnie przed ścigającymi mężczyznami, wskoczyłem do strumienia. Przykucnąłem w wodzie, odwróciłem się do tyłu i wykonałem w tym kierunku kilka kroków do miejsca, gdzie gałęzie i drzewa tworzyły lepszą zastonę. Obaj mężczyźni, szybko biegnąc, minęli to miejsce i nagle się zatrzymali, mówiąc po rosyjsku: „No, gdzież on się podział?” Wkrótce zrezygnowali z pościgu. Zobaczyłem ich zajętych głośną rozmową w drodze powrotnej. Używali wykrzykników i brukowych słów.

Myszkowałem po okolicy, nie tylko szukając czegoś do zjedzenia, ale również z ciekawości. Pewnego letniego popołudnia dostałem się po wspornikach balkonowych na dach domu dziecka. Łączył się on z dachem sąsiedniego domu. Ktoś suszył tam owoce. Wziąłem ich kilka w zanadrze i tą samą drogą powróciłem. Następnego dnia ponowiłem wyprawę. Gdy zbliżyłem się do owoców, nagle zjawił się na dachu mężczyzna i urządził za mną pościg. Uciekałem jednak szybciej. Po wspornikach balkonowych zsunąłem się na ziemię, a później pobiegłem do domu dziecka. Sądziłem, że sprawa jest zakończona. Mężczyzna udał się jednak do kierowniczkii, która zarządziła zbiórkę wszystkich dzieci. Nagle zobaczyłem go. Powiedział coś po rosyjsku i rozpoznał mnie. Za karę miałem przez tydzień spać poza domem i czyścić drewniany wychodek.

We wrześniu 1944 roku zorganizowano w Namanganie polską szkołę. Nauczycielkami zostały wychowawczynie z domu dziecka. Każdy uczeń z domu dziecka otrzymywał cienki zeszyt, ołówek i gumkę. Zeszyt ten służył do wszystkich przedmiotów. Gdy został zapisany do końca, należało wszystko powycierać gumką i zapisywać od nowa.

Lubiłem szkołę i nauczycielki. Wiadomości o Polsce pochłaniałem z wielkim wzruszeniem. Uczyłem się łatwo i szybko. Otrzymywałem nagrody za dobre postępy w nauce, a jedna z nauczycielek chciała mnie adoptować, aby „wykierować mnie na ludzi”. Moja mama jednak stanowczo się temu sprzeciwiła.

Nękały nas różne choroby. Prawie każdy przechodził czerwonkę. Również malaria powracała regularnie. Wiosną 1944 roku, gdy jako prawie dziesięcioletni chłopiec odwiedziłem mamę w kołchozie, atak zimnicy malarycznej zaskoczył mnie, kiedy pomagałem jej w pracy na polu. W fazie dreszczy i ataku malarycznego położyłem się na ziemi w ostrym słońcu. Odczułem ulgę i – zemdlałem. Mama, biegnąc z całych sił, zaniosiła mnie do rzeki. Wówczas odzyskałem przytomność, ale musiałem iść do szpitala na leczenie.

Jesienią 1944 roku mama ciężko zachorowała na tak zwaną malarię tropikalną. Leżała w szpitalu i była już bliska śmierci. Wtedy jeden z Polaków z in-

nego pobliskiego kołchozu przyszedł do domu dziecka, aby powiadomić mnie, że moja mama umiera. Chciałem natychmiast wyruszyć do szpitala, ale mężczyzna ów powiedział, że nie może w ciągu jednego dnia przejść więcej niż sześćdziesiąt kilometrów. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy z Namanganu do Czust. Po przejściu szesnastu kilometrów miałem jedną nogę we krwi. Usiedliśmy więc przy drodze i czekaliśmy na „okazję”. Po kilku godzinach nadjechała ciężarówka do Czust z wolnymi miejscami „na pace”. Zapłaciliśmy za podróż i po kilku godzinach znalazłem się przy szpitalu, a po kilkudziesięciu minutach, po odszukaniu właściwego okna i dostaniu się do niego metodą pokonywania murowanych ogrodzeń, byłem przy mamie. Leżała w sali dla zakaźnie chorych. Personel szpitalny nie zezwalał na odwiedzanie przebywających tam chorych. Gdy zobaczyłem wychudłą, wycieńczoną i do skóry ostrzyżoną matkę, wybuchnąłem głośnym płaczem. Mama jednak uspokoiła mnie konkretną prośbą. Powiedziała, że jest bardzo głodna i że ma ochotę na rosół z kury. Konkretnie zadanie zmobilizowało mnie do działania. Niemal biegiem, boso, przybyłem do naszego kołchozowego mieszkania i poprosiłem panią Rozwód o przygotowanie rosółu dla mamy. Gdzieś „zdobyłem” kurę i jeszcze tego samego dnia przyniosłem mamie zupę.

Każdego dnia przychodziłem do chorej mamy (zawsze przez okno) i przynosiłem takie pożywienie, jakie sobie życzyła. Szybko wracała do zdrowia, tak że po tygodniu opuściła szpital. Nie wróciła już jednak do pracy kołchozowej, ponieważ została przyjęta do pracy w fabryce, gdzie wyrabiano worki płócienne.

Mama od dziecka zajmowała się tkaniem. Wyrabiała więc sześć razy więcej płótna workowego niż przeciętna tkaczka z fabryki. Kiedy nadszedł czas wyjazdu do Polski, dyrektor poprosił mamę, aby pozostała w fabryce. Obiecywał jej wyższą pensję i lepsze mieszkanie. Mama jednak odpowiedziała, że chce wyjechać do Polski, do swojej ojczyzny.

Wyruszyłem do Polski na początku maja 1946 roku transportem przeznaczonym dla dzieci z domów dziecka Tadżykistanu i sąsiednich republik. Mama zaś i Marysia jechały następnym transportem, przeznaczonym dla rodzin polskich z Tadżykistanu.

Podróż do Polski odbywała się w uniesieniu szczęścia. Była cudowna. Pociąg pędził, dudniąc rytmicznie po szynach. Rzadko się zatrzymywał. Z okien wagonu roztaczały się bajecznie kolorowe widoki pełnej i bujnej wiosny.

Gdy znaleźliśmy się na terenie Polski i pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji, miejscowi ludzie dowiedzieli się, że przybył z daleka transport polskich dzieci. Natychmiast się zorganizowali i przynosili nam chleb, mleko, kaszę, okraszone ziemniaki, warzywa i inne rzeczy do jedzenia. A czynili to z taką miłością, że rzeczy te wydawały się czymś nadzwyczajnym.

Końcową stacją naszego pociągu był Gostynin. Zatrzymaliśmy się w Domu Rozdzielczym, gdzie spędziłem dwa miesiące. Niektórzy niemal natychmiast

jechali dalej: do rodzin lub sierocińców. Przydały się nabyte w Tadżykistanie umiejętności zdobywania jedzenia: w pobliskiej małej rzece łowiłem ryby na haczyk zrobiony z agrafki i jadłem je na surowo. Do lasu chodziłem po tak zwaną „zajęczą kapustę”, a później po czarne jagody. Nauczyłem się pozbywać kleszczy, które przynosiłem z lasu. W Punkcie Pomocy dostawałem zaś codziennie jeden lub dwa talerze gęstej zupy.

We wrześniu 1946 roku skierowano mnie do sanatorium dla dzieci w Rabszynie koło Olkusza. Było to sanatorium przeciwgruźlicze położone w lesie sosnowym. Półroczny pobyt tam okazał się cudownym zwieńczeniem mojego dzieciństwa i wejściem w okres dorastania (6 czerwca 1946 roku ukończyłem dwunasty rok życia). W sanatorium spotkałem wspaniałych ludzi: księdza kapelana, siostry zakonne, przejętych swoim powołaniem świeckich wychowawców, anielsko dobre, chociaż nieco smutne dzieci i nadzwyczajną obsługę. Tam, przygotowany przez niezwykle zaangażowanego księdza kapelana, przyjąłem Pierwszą Komunię św., co było dla mnie wprowadzeniem w życie chrześcijańskie. Tam też przyjąłem sakrament bierzmowania. Tam rozpocząłem i ukończyłem klasę trzecią. Tam byłem umiejętnie i atrakcyjnie wprowadzany w zasady miłości ojczyzny. Gdy przy wyjeździe z sanatorium ktoś postawił mi pytanie: „Kim chcesz zostać?” – bez wahania odpowiedziałem: „Księdzem kapelanem”.

W marcu 1947 roku przyjechałem do Jeleniej Góry, gdzie spotkaliśmy się: mama, ojciec, Marysia i ja. Przyjęto mnie do klasy czwartej. Chociaż we wszystkich przedmiotach miałem zaległości, już w klasie piątej dostawałem same piątki. W roku 1954 uzyskałem świadectwo maturalne liceum ogólnokształcącego ze specjalnym wyróżnieniem, co otwierało mi drogi na wszystkie kierunki studiów w Polsce. Wprawdzie niektóre drogi życia zawodowego i osobistego tragicznie się pozamykały, dwie jednak okazały się owocne i są nadal obiecujące: KUL, gdzie w roku 1964 podjąłem studia psychologiczne, z kontynuacją w formie samodzielnej pracy naukowo-dydaktycznej, oraz rozpoczęta w roku 1979 Droga Neokatechumenalna, z ciągle poszerzającym się horyzontem spełnienia.